

Ksienia Andriej Fiodorowicz Pietrow - monodram

Mówię. Żyję? Chcecie tego. Umarłam za Andrieja. I stał się mną.

Urzędowy świstek. Mój Andriej Fiodorowicz Pietrow zginął na wojnie. A gdzie ciało? Świstek to ciało? Przycisnęłam do piersi straszne słowa. Trzymałam przy uchu cudze usta. Szeptaly, że zmarł od zarazy albo od zatrutej wódki. Zgubiłam te usta i te oczy. I świstek. Nie wiem, jak umarł mąż. I od tej chwili jestem w niezgodzie z Hospodom Bohom. A potem jednak przywieźli ciało mego Andrieja. Całe i gładkie. I nie wiem, czy prawda była w oczach przez pismo, czy w ustach przy uchu.

Żony wtedy były niewidzialne? Nie tak. Nikt nic o mnie nie wiedział? Nie tak. Zakrzyczałam całą sobą **Nie chcę!** i stałam się widzialna? Nie o to chodzi. Żyjemy naszym ślubem [1]. Trzymają nad nami korony i zaśpiewają *Mnohaje leto*. Ta nasza weselna pieśń, nawet w razie kłótni, szybko przywraca stan pierwotny: jesteśmy jedno. Długi ślub w jedno długie szczęście zlepia. Widzialni, bo przez innych długo widywani w jednym szczęściu. Jeśli pieśń nie zlepi dwojga, to też widzą. Pieśń będzie bezradna. Opuści nas jej twarz. Pieśń to żywa istota o pięknej melodii i słowach, a to jej twarz.

Kiedy powstała ta piosenka? Ta. *Wiera czudnaja maja, wiera czudnaja ma... prawasławna...* Dawno temu. A wy ją znacie po polsku: *Tajemnice wiary mej, tajemnice wiary mej... niezgłębione są...* Ale już tej piosenki nie śpiewacie. Ani w moim języku, ani po polsku. Był u was kabaret Dudek, który śpiewał to dla was. Pamiętacie Dudka?

Śmiesznie mówię? Skąd wiem o Dudku? Wiem.

Jestem w zgodzie z każdą epoką, ale nie godzę się na zapominanie pieśni, czy czego innego, co wzrusza i od tego ludzie życzliwie się uśmiechną. Za dużo chcę? Jestem w zgodzie z każdym miejscem na ziemi. Już mogę. Nie mam domu. Oddałam kobiecie bardziej samotnej. Potem o tym. W taki sposób nie mieć domu, jak ja, znaczy: rozpocząć i kontynuować teologię uliczną. I widzę, co będzie za kilka wieków. Będę z wami. Ikona przyniesie. To obraz człowieka żywego. Kobieta, podobna do mnie, opowie wszystko, co zechcę, co dopuszczę do opowiedzenia. Gdy znika dopuszczenie, to powstają plotki i bajki. Często nas przez wiele wieków jedna osoba przenosi dla wielu, z prawdą i plotkami. Na tym polega pamięć i jej rozwój.

Mów, osobo. Nie bądź plotkarą.

Nawet kurzu czy krwi nie należy ścierać wewnątrz pamięci. Kurz to nawet trzeba może i zetrzeć, żeby zobaczyć, co chowa. Ale krwi nie wolno, bo to twarz epok. I dobrego człowieka też. Człowieka, który pięknie śpiewa, nie wolno.

Mój mąż Andriej Fiodorowicz pięknie śpiewał. Chórzysta Chóru Dworskiego. Tam śpiewano przed wojnami i po wojnach, na koronacje i na śmierć - na wszystko. I w *chramach*. My, rusczy ludzie, żyjemy pieśnią. Wszystkie uczucia wyrażamy przez pieśń. Uczucia do *Hasudara* i *Hasudaryni*, do kaliny i dzielnego ptaka. Do zwycięzców i zwyciężonych. Do kawy, wódki i tytoniu. Odbierzcie nam pieśń, a nie poczujemy uroczyste naszych dusz, a więc zejdziemy na dno.

Graf Rozumowski był świniopasem, ale pięknie śpiewał, więc Ruś wzniosła go w grafy.

Na naszym ślubie kto inny z tym samym głosem zastąpił Andrieja. Bas. Jednakowe głosy. Myślałam, że mój Andriej Fiodorowicz jest przy mnie i daleko na chórze. W naszej świątyni *Hospodź Boh* daje podwójną parę oczu i uszu. Widzimy, że pod stopy wsuwa się niebo. Stajemy się przezroczyści. W ciałach płoną dalekie świece.

Nasza ulica w Petersburgu to były drewniane domki, jeden przy drugim. Wy nie stawiacie się tak ciasno. Takiej

ulicy nie ma już w moim mieście, jakby murowane było solidniejsze. I tak ludzie rozsiewają pożary po całym świecie i wiem, że *Hospodź Boh* w tym nie pomaga, i jeszcze wiem, że sam *Hospodź Boh* boi się niektórych ludzi. Spodziewa się przemiany. Oczekiwanie i czekanie. Na tym polega wielkość. I tak pozostaję z nim w kłótni. Dobroć to nie to samo, co sprawiedliwość. Dobrym można być i dla niesprawiedliwych. Nie moja droga, *Hospodi Boże*. Ty wiesz i moje słowa śledzisz. Jesteś trochę policyjny, *Hospodi Boże*.

Moje miasto. A co człowiek wart bez swego miasta? Miasto kocha swoich mieszkańców. A każde? A którego z mieszkańców kocha najbardziej? A jestem teraz tutaj. Jestem tam, gdzie chcę, ale moje miasto pokochało mnie i ciągle jest przy mnie. Trochę o nim głośno pomyślę. Miło głośno myśleć o kochającym mieście.

Hasudar zaczął nam wznosić Petropolis, Sankt Piterburh, na Wyspie o śmiesznej nazwie: Zajęcza. I miasto pobiegło wzwyż tak szybko, jak żadne na świecie. Od razy były pałace, chramy. Nasza ulica pozostawała drewniana, ale Hasudar miasto murował. I spinał bramami, żeby było ciasno. Po całej Rusi zakazał budowy domów murowanych, żeby tu szybciej rosły. Wszyscy się zbiegli do tej budowy i można powiedzieć, że każdy kamień sam przybiegł, bo miał ludzkie nogi i ręce, i na czworakach kamienie przypełzły. A i zniewoleni ludzie przybyli. Rozkazem od Hasudara musieli. Sam Hasudar mieszkał w drewnianej chacie nad Newą, żeby nadzorować prace, a nie żeby najpierw budować się bogato samemu sobie.

A ta Wyspa Zajęcza nazywana też była Wesołą Wyspą. Najpierw powiem, dlaczego Zajęcza. Bo to wzięło się od zajęczaków, królików i od Księżycy, który u nas, Słowian, jest Małym Księciem, czyli Królikiem. Zresztą nie tylko Słowianie mają króliki w nazwie wysp, i nie tylko oni widzą Małego Księcia, czyli Królika w Księżycu. Ci, co mieszkają na wielkim bucie w Europie, też mają zajęcze wyspy. Zajęce, króliki czy zajęczaki to wszystko jedno. To się potem w nazwie łączy w zajęcza. A to przez jednakowe długie uszy. A jeszcze przez to te uszy mieliśmy w nazwie, że mamy białe noce, kiedy nasz Królik na niebie tak jasno świeci, że jego samego nie widać, tylko samo światło, a ono zagląda w każda króliczą norę. I króliki stają się wesołe, bo mają przez to światło nocne bale. Tańczą całymi nocami. I od tego tańca wyspa nazywała się przez jakiś czas Wesoła. Na tej wesołej Wyspie Zajęczej sam Hasudar wykopał dwa kawałki mokrej ziemi i na krzyż złożył. A wszędzie była tylko mokra ziemia. Królik na niebie wtedy tak mocno świecił, że ten krzyż z błota bez pomocy alchemików zamienił się w czyste złoto.

Hasudar wtedy postanowił: tu zbuduję wielkie Miasto Raj. Zrobił to. Siła Królika z nieba i wesołość królików w norach to sprawiła. I siła światła. Hasudar postawił miasto na świetle. Budynki ciężkie i wielkie unoszą się nad ziemią.

Jestem tam, gdzie słowo inaczej chodzi. Mocniej niż z ust. W Pawłowym liście przecież macie wszystko, o co chodzi: „*My głupi dla Chrystusa*”. Mało kto odważy się na głupotę nie dla głupstwa. Pawłowe słowo trafia jak celny strzał. Człowiek pada mądrym, żeby wstać głupim. Mówi: *jestem głupi i dlatego mogę wstać i mówić, jak potrafię w tej sytuacji*. I takie słowo widzi wszystko, co się ma stać, bo nic nie zamazuje myśli. Taka jest moc człowieka świadomie głupiego, i św. Pawła. Człowiek tak głupi zaczyna głośno myśleć. Głośne myśli muszą być od razu dobre, bo przecież głośne. Tego nie poprawisz. Nie można głośnych myśli poprawić następną głośnie, bo już ta pierwsza poszła w świat i jest powtarzana, bo pochodzi od człowieka głupiego, który sam mówi, że głupi. I śmieją się. Ale jak myśl była dobra, to ją potem ten głupi wiele razy powtarza, aż wszyscy zaczynają powtarzać nie dla głupstwa i śmiechu. Zgłupiałam sposobem Pawłowym, choć Pawłowe słowa jeszcze nie były obecne w mojej pamięci. Same mnie trafiły tajnym palcem o imieniu Wskazanie Drogi.

Człowiek ma ciało o różnym wyglądzie, i z drewna. Na naszej ulicy, a to wzdłuż Cmentarza Smoleńskiego, zmarła dziewczyna. I *baciuszka na paminki* czule dotknęła krzyża na jej grobie i mówi: *Znałem cię. Teraz tu stoisz. Krzyż to twoje ciało. Przystanęłaś. Wyruszysz w drogę. Będzie piękna*.

I wtedy w krzyżu zobaczyłam żywą dziewczynę. To było jej trzecie ciało. Widziałam, jak wyruszyła w drogę. Uniosła się. Mówię, że poszła, bo pięknie poszła. Nad ziemią.

A na pogrzeb mego Andrieja Fiodorowicza Pietrowa w jego ciało się przebrałam. Zamiast niego umarłam. W jego ramiona się wystroiłam. Zgłupiałam, żeby żył. Ubrałam się w jego spodnie, w kamizelę, w zieloną kapotę z czerwonymi wyłogami, a na głowę włożyłam jego *kartuz*, który położył gęsty cień na twarz. Taki był paradny strój pułkownika pułku Preobrażeńskiego. Jestem pułkownik Andriej Fiodorowicz Pietrow, oznajmiłam przez gęsty cień. Ksieni Grigoriewnej nie ma. Umarła. I nie mogłam się doczekać przedostatnich słów Panichidy, najpoważniejszych, najbardziej uroczystych: *Wo błazennom uspienji wiecznyj pakoj podažd', Hospodi, usopszej rabie twojej Ksienie... i sotwori jej wiecznyju pamiat'...*

Ale tak nie było. Było: *usopszemu rabu twojemy, Andrieju... i sotwori jemu wiecznyju pamiat'.*

A z chóru wybijał się bas mego Andrieja Fiodorowicza. Ten sam, który śpiewał nam pod koronami *Mnohaje leto*. Nie mogłam się doczekać *Wo błazennom uspienji*, ale żeby było o mnie. Chciałam jak najszybciej usłyszeć najpotężniejsze słowa o mnie. Pieśń tu wybucha i zmusza głos chórzysty, aby w tej prośbie do Hospoda Boha z całej mocy obwieszczał o śmierci człowieka. Bierz ciało, Hospodi Boże, i czyn mu życie.

Andriej stał żywy przy trumnie, we mnie i mną, i w trumnie leżał. I jednocześnie na chórze basem śpiewał *Wo błazennom uspienji*, a potem *I sotwori jemy wiecznyju pamiat'*, a więc śpiewał sobie, i to z cudzego gardła, kolegi z chóru. Mieszało się to w głowie jak *rukopaszne* starcie na Polu Boju i utwierdzało postanowienie: nie zdejmę munduru Andrieja.

W jedną noc osiwiłam, a twarz postarzała się, stała się ciężka jak dwa martwe króliki. Przestałam być piękna i młoda. W pierwszej chwili Andriej by mnie nie poznał.

To ja, *raba bożja*, Ksienia, leżałam w trumnie. Skoro my jedno, to jaka różnica, kto w trumnie leży? Żona i mąż to nie jest pół i pół. Jedno ciało można rozpołować? I nie krwawi? I nie umiera od razu to pół i tamto pół?

Ale kto mnie słucha, kiedy teraz głośno myślę? A czy to ja, Ksienia? W głębi ducha - ja.

Ja wiem, że przeciw woli Hospoda Boha wystąpiłam, kiedy uznałam się na pogrzebie Andrieja za Andrieja i ubrałam się w jego męski strój. Będę szukać sprawiedliwego Hospoda Boha - tak postanowiłam. I znajduję.

To mój Andriej Fiodorowicz głośno myśli mnie. Przecież mieliśmy przed sobą *Mnohaje Leto*. Do śmierci i po śmierci.

A trzy noce przed jego śmiercią miałam sen. Jego twarz mi się śniła. Wyszła z ziemi i rozkwitła w nieznanym mi kwiat. Biały. Jak porcelanowy. Niezupełnie nieznanymi. Był jak filiżanka Andrieja Fiodorowicza, sprowadzona z kraju na dużym bucie. Duża i w kształcie rozchylonego kwiatu. Lilia wodna. Stojąc płynie. Płynie z *czajem* do ust Andrieja. A ze snami jak z obiadem. Zapominamy, że był podany. Nie zapomniałam. Nie mogłam do niczego przez trzy dni tego snu przypasować. Nie spodziewałam się tej śmierci.

A jeszcze ten sen rozkwitł w drugi sen. I to nie był sen, teraz to wiem, tylko druga strona życia. Rodziłam. A nie mam dzieci. Długo rodziłam, choć pewnie w zwykłym zegarze było to krótkie i może wcale nie było. Rodziłam bezboleśnie, ale z trudem. Łała się ze mnie krew. Urodziłam dziecko całe we krwi. Byłam sama. Dziecko nie miało pępowiny. Chłopiec. Owinęłam w koszulę i czułam bicie jego serca i ciepło ciała. Syn otworzył oczy. Były duże i zielone, jakby wiosenna łąka tak prysnęła. *Jestem twój* - powiedział. Umiał mówić! Przytuliłam. I tak trzymam, a z tego drugiego życia wyjść nie mogę. A nagle przed nami wyrasta postać kobieca w stroju mniszki, tylko nie w czarnym, a w białym, i trochę innym, niż ten prawdziwy. I zielonkawa wysoka stójka otula ciasno szyję i zachodzi na brodę, i powyżej brody, i zasłania usta. Dziewczyna.

Ta dziewczyna ma twarz mego Andrieja Fiodorowicza, tylko zmienioną w piękną dziewczęcą. I na chwilę odsłania usta, i mówi: *Jestem Ksienia. Chcę żyć, a tylko tu żyję, ale jeśli tu żyję, to żyję. Żyję? Jestem tobą, twoim synem i*

sobą. I odwróciła się, naciągając na usta stójkę. Miała zmęczoną twarz i spierzchłe usta. Ale była piękna. Ikona Cierpiącej Piątek, tylko twarz młodsza. Obudziłam się, ale nie tak, żeby nie pamiętać. To znaczy wyszłam. Zdaje się, że przez białe drzwi, które na tę chwilę uciły mi ramiona. Jednocześnie zniknęły plamy krwi z koszuli i prześcieradła. A zielonooki syn został we mnie bezramiennej w moich ramionach. I tak trwa. Ja to wiem, choć nikt tego nie zobaczy. Wrósł. Potem było tak, że jak tylko wzięłam w ramiona cudze chore dziecko, to zdrowiało. A czy to tak jest, że czyjeś cierpienie kogoś leczy? Ciało? Duszę?

Ja, Ksienia Andriej Fiodorowicz, cały czas mówię w zgłupieniu. I jeśli ktoś mnie słyszy, to wie, że moje głośne myślenie rozlega się tylko w nieziemskiej ciszy, kiedy wszyscy wszystko rozumieją i nic nie trzeba tłumaczyć. W tej nieziemskiej ciszy słowa tej głupiej, *zjurodiwiałej*, nawet szeptane są głośne. Skąd przychodzą słowa, których nie jest za dużo i każdy by prosił: mów jeszcze?

Tam, gdzie ja, tam Wyspa Zajęczca - mówię. Głupio? Jeśli jest Królik na niebie, to znaczy, że świeci on Wyspom Zajęczym, które można nazwać Króliczymi. Wszystko się łączy na naszej Ziemi, choć wydaje się, że nie, a łączy się tam, gdzie dobro i piękno. Zło próbuje łączyć się w straszny łańcuch, ale rozpada się. Wszystkie miejsca na Ziemi to królicze miejsca pod Królikiem na niebie. Każdy żyje na wyspie. Każdemu Królik z nieba świeci. Królik nad nami jest wspólny. A swoje wyspy to człowiek nogami nosi po świecie. I inną wyspę upiększy albo oszpeci. Stykiem i najściem.

Mówię i mówię o Wyspie Zajęczej, bo kocham Ruś. Piękna i straszna. Jak się to złączy, to zaraz mamy straszne piękno albo piękną straszność. Chcę to oddzielić i przez piękno iść. I wtedy pojawia się natychmiast ktoś straszny. Upieram się, że nie chcę tędy. Upór kieruje do Hospoda Boha, żeby mnie nie spychał byle gdzie, nie pod siekierę. Mówili, że ktoś się przyczynił do śmierci Andrieja. Że to ani zaraza, ani wojna, ani wódka. Ale kto i jak? Nie może to być prawdą. Było zwyczajnie. Serce mu przestało bić. To pismo o tym, że zginął na wojnie, to może nie do mnie było? Może o innym Andrieju i do innej żony? Nie może być! - wykrzyknęłam. Andriej miałby nie żyć?

Tyle we mnie było miłości do niego, że ta miłość musiała go wskrzesić. Będzie żył przez całe wieki, jeśli ja swoje życie oddam za niego. Jakże może być *Mnohaje leto* przede mną bez Andrieja? Była we mnie taka miłość do niego, że żaden inny mężczyzna nic nie mógł z tej miłości wziąć dla siebie. Zanim ona się skończy, to moje życie upłynie. Nikt, żaden inny mężczyzna nie poczeka na mnie przez całe moje życie, całe *Mnohaje leta*. I ten sen o zielonookim synu pamiętam. I tę dziewczynę o twarzy Andrieja o zasłoniętych stójką ustach. Ja ją jeszcze spytałam, jeszcze nie znając strasznego znaczenia pytania: czy tobie tam dobrze, Andrieju? Nie otrzymałam odpowiedzi. Jej usta były takie płaczące. Usta. Nie oczy. Ludziom płaczą usta. Często widzę gorycz ust. Usta nie kłamią. Nie mają łez, ale płaczą gorzko. Z oczu czasami leją się fałszywe łzy.

Śpię pod gołym niebem na Wyspie Zajęczej i bolą mnie kości. Wytrzymam. Kiedy mi królik świeci w oczy albo rozrasta się światłem białej nocy, to ja wtedy jestem z Ksienią ze snu i zielonookim synem, a jak to się złoży, a doda Hospoda Chrystusa, wskrzesza się Andriej Fiodorowicz. Razem z Hospodom Chrystusem wskrzeszam. I przeciw woli Ojca na niebiesiech, bo to moja wola z przywoływaniem woli Chrystusa. A czy dobrze robię, że ja z Chrystusem, a przeciw woli Ojca? A czy Chrystus nie cierpiał przez wolę Ojca, a przecież nie chciał umierać? Ja to wiem. Nawet do Chrystusa rzadko się zwracam. Mówię sobą i to też jest wbrew woli Ojca. A Chrystus przecież powiedział: *Opuścisz ojca i matkę, i przyłgniesz do męża swego, i będziecie jedno, będziecie jednym ciałem i jedną płcią.*

A może Chrystus wypowiedział śmieszne słowa?

Chrystus pragnął zmienić prawo swego nieba. Był jak ja stanowczy i jak ja uliczny. Nie ma kłótni z Hospodom Bohom - nie ma teologii. Co może być w tym miejscu? A co może być zamiast drzewa? Musi zamierać, aby zakwitnąć.

Po Wyspie Zajęczej włączę moje zamieranie i spanie w polu pod jasnym Królikiem. Na zimę wracam do mego

domu, który podarowałam Praskowji Antonowej i śpię gdziekolwiek, najczęściej pod schodami, które prowadzą z sieni na górkę. Na górce są cztery pokoje, jest cieplej, ale i pod schodami dobrze.

Praskowja była kobietą nieszczęśliwą z samotności. Unteroficerska wdowa. Zbiedniała po śmierci męża. Zestarzała się. Za stara, żeby na nowo wyjść za mąż i mieć dzieci. Raz ujrzałam obraz jej przyszłości, że już nie jest samotna, że ma syna. Pobiegłam do niej, a ona pyta w drzwiach: *Z czym przychodzisz, Andrieju Fiodorowiczu?* Zdyszana, mówię, żeby biegła w takie jedno miejsce przy Cmentarzu Smoleńskim, przy wrotach, tam jakiś woźnica pobił ciężarną kobietę, ona tam zaczęła rodzić i zaraz umrze. Bierz dziecko. I ty będziesz szczęśliwa, i dziecko będzie miało dobrą matkę. Pobiegła i zdążyła odebrać poród. Matka z krwotokiem zmarła na środku ulicy. Woźnice omijali, a ten drań, co pobił, uciekł na swojej *pralotce*. Ale stamtąd nadbiegło szczęście do Praskowji. Wiedziałam, że dziecko w moim domu u Praskowji będzie miało dobre życie. Od Hospoda Boha było posłane kobiecie potrzebującej. I dla niej okazał się zarówno dobry, jak i sprawiedliwy. Ludzie szukali rodziny tej zmarłej. Nie znaleźli. Znaczy, że zielonooki syn przyszedł z mego snu. Nie znam dokładniej stanu tej drogi.

A Praskowja Antonowa nadal uważa ten dom za mój. Pukają do niej po prośbie. Nakarmi. A ja nie pukam, kiedy wchodzę do niej zimą, żeby pospać pod schodami. I Praskowja Antonowa nie zamyka nigdy drzwi na klucz. I nikt jej nie okradł.

A złodzieje stoją po mojej stronie, choć nie wiem, czy to dobrze. Odpędzają ode mnie uliczników. Może im też zapewniam powodzenie w złodziejskich interesach? A może mniej kradną? A może stają do jakiejś prawej roboty? Nie wnikiem. Nie wołam: *wor! Wory!* Tak zwiemy ich. Jestem pewna, że człowiek zdolny jest do zmiany profesji wraz ze zmianą charakteru.

O tym woźnicy, za sprawą którego mateczka zmarła na ulicy, a jej zielonooki skarb trafił do Praskowji Antonowej, to nigdy nie pomyślę z miłością. Nie dam rady. A kto by go pokochał takiego? Kto by miłość do niego takiego mógł utrzymać? Słyszałam: żona uciekła od niego. Nie wiem, dokąd. Nie spotkałam nigdzie. Zresztą nie znałam jej. We mnie jest radość, że uciekła i naprawdę uciekła - chyba daleko. Nie wiem, czy to dobrze, cieszyć się z tego, że uciekła w nieznaną żoną woźnicy. Ale on przecież był złym człowiekiem, przynajmniej w tamtej chwili. I tak nie jestem pewna swej radości. Cieszę się bez uśmiechu. Jest taki rodzaj radości.

A synek Praskowji Antonowej na ważnego urzędnika wyrósł, i takim go zapisali go w księgach, a jeszcze młody był. I dwa duże domy kupił.

Praskowja na moją prośbę dawała nocleg bezdomnym. Pod tym warunkiem podarowałam dom.

Chodzę po mojej Wyspie Zajęcej, ale już nie czytam nazw ulic. Nie interesuje mnie, jaki następny Hasudar czy Hasudarynia rządzi ojczyzną, choć zaczynam ich liczyć. Na jednej ręce nie zmieściłam. Jeszcze trzy palce drugiej doszły, a potem zabrakło ręki. A jak wyszli poza palce drugiej ręki, to zaczęłam liczyć na palcach nogi. A jak i tego nie starczy z dwóch nóg, to na włosach zacznę liczyć, splatając zliczonych. Prędzej jednak umrę. Tyle, co dobrze wiem, to to, że wszyscy europeizują się na naszej Wyspie Zajęcej. I kobiety, i mężczyźni cudzołożą, i Hasudarynie, i Hasudary, jakby powariowali. Mają po trzydzieści kochanek i kochanków. I wielu mówi, że to ja zwariowałam, bo kocham tylko jednego, tylko Andrieja Fiodorowicza, a i to zmarłego. Bo włóczę się po ulicach w łachmanach. Przecież to nie łachmany, tylko ubranie Andrieja. A jaka różnica, czy porwane, czy nie, skoro to ubranie Andrieja? Przecie ma takie piękne dwa kolory, zielony, ten z płaskiej zieleni, nie jaskrawy, i czerwony, też z płaski, nie jaskrawy? I ciągle pachnie Andriejem?

To nie ja, to moja miłość wałęsa się po ulicach, aż całe miasto nią się napelnia. Mniej się ze mnie śmieją. I mówią: kobieta, która się nie uśmiecha. A wciąż pozostaję w kłótni z Hospodom Bohom o śmierć Andrieja. A kiedy dojdę do sprawiedliwego Hospoda Boha?

A jakiś czas, chyba z sześć lat żyłam w Carskim Monasterze i tam mnie wyświęcili na prawdziwą *jurodiwą*. I znowu poszłam ulicami mego miasta. Ale już o mnie wszyscy mówili, i w monasterze: ona już za życia jest potężna

jak car. *Pri żyzni carstwiennaja*. A po polsku byłoby: *królewska za życia*. Polaków było wielu w naszym mieście. I Niemców, i Włochów. Cała Europa tu przybiegła. I krańce Rusi. Słyszałam wiele języków i coś z nich zapamiętałam. Jeden przyjezdny polski hrabia spytał kupca o mnie: czy to ta królewska za życia?

Wtedy przechodziłam tamtędy, gdzie ten kupiec, najgrubszy w całym mieście, sprzedawał kawę i tytoń, a to było wtedy modne, kurzyć i pić brązową wodę, jak w Europie. To pierwszy Piotr Hasudar wprowadził tytoń i kawę w nasze usta i nosy. Jeszcze i europejską gorzałką zalał Ruś. Sam lubił wypić. Tylko że on miał wzrost dwumetrowy, to mógł wlewać w siebie naraz i trzy flachy, a mniejsi ludzie po jednej padali. I cała Ruś pełna była takich małych padniętych ludzi.

Kupiec ten nosił prawie hrabiowskie nazwisko, i do ciała dopasowane: Tolstowoj. Mówili o nim: Tolst.

A ten polski hrabia tak się we mnie zapatrzył, że pędząca pralotka omal nie starła go ze świata. I zaraz się na całą Ruś zagniewał głośno.

Hasudary i Hasudarynie tak szybko się zmieniają na mojej Rusi, że aż w oczach robią się z nich biegnące paciorki. Największy i z najmniejszej chaty to był pierwszy Piotr, a po nim paciorki carów i caryc pobiegły. Caryca pierwsza Katarzyna, car drugi Piotr, Anna, Elżbieta, nowa Anna, Ioann, nowa Anna, nowa Elżbieta, trzeci Piotr, i caryca druga Katarzyna. I następni. A to wszystko za jednego ludzkiego życia. Moje życie było dłuższe, niż opowiadają. Może ze sto lat żyłam? I tak krótko. Może pomyliłam kolejność Hasudarów, ale co szkodzi? Po co tak biegać? Raz powiem Hasudar, raz car. A co szkodzi? Nie każdy car to Hasudar, i nie każdy Hasudar to Imperator. Nie wyjaśniam dokładniej. To taka różnica jak między miłością, która się kończy, a miłością bez końca, bez granic. Granice Rusi to granice bez granic. Granice Rusi falują jak morze, albo lepiej, ocean. Coś połkną, nakryją, i cofną się, i ponownie nalizą. Najczęściej w ten sposób lizą Polaków. Polacy masowo przybywali do Petersburga, do budowy, do teatrów, do nauki. To może nie jest im tak źle w tym nalizanym na nich ruskim oceanie? A może pozostałym źle? Tego nie poprawię. Poprawię. Jestem kobieta niczyja i nawet moje imię oznacza po grecku Cudzoziemka. Z miejsca obcości mogę pomóc każdemu, kto potrzebuje szczęścia, bo wyjęta jestem z opluwających swoich.

To Hasudar pierwszy Piotr nakazał kobietom, żeby się pokazywały wszędzie, na balach, rozmowach, w teatrach i na ulicach. Po śmierci Andrieja Fiodorowicza pomyślałam: to ja się też pokażę, ale tak, jak żadna inna kobieta. Nie jak piętnasta kochanka kogoś tak nowoczesnego, że w młodych wdowach przebiera, aż ma ich tyle, że może nimi dwory zamiatać miotłą wielkości dwudziestu sal balowych. Moim balem będzie to, że będę tak, jak sama chcę: umrę, ulicznie zamierać będę, aby Andriej żył i w mojej osobie chodził. Chcę, żeby ludzie zobaczyli, co się dzieje z kobietą po takiej śmierci, jak Andrieja.

Samiuteńka.

Nie ma męża. Nie był przygotowany na śmierć.

A moja miłość nie chce umrzeć. Nie jestem przygotowana.

W samotność się wystroiłam. I będę mówić ludziom takie rzeczy, które umniejszą ich samotność i nieszczęśliwość.

Tak mi przyszło do głowy, że trzydziestu kochanków czy kochanic też poszukało się z samotności. A na całe życie do śmierci nie znalazło się nikogo.

Nierozumna samotność! Daremne poszukiwanie!

Patrzcie. Moja samotność jest i jest jako samotność, bez poszukiwania trzydziestu kochanków, bo i tak nie umniejszą mojej samotności. Tylko ubłocą moje kochanie. W tym wszystkim biegnącym i pstrzącym w oczy nasz

miejski herb nieustannie mi się podoba. Płonące serce na książęcym stroju. A jeśli go zmienia? Niech to serce płonie, jak moje w niszczącym ubraniu.

Kupcy mi wciskają do rąk *bubliki* i proszą: dotknij, jak już nie chcesz zjeść, to mi się interes powiedzie i rozwinie. Potem myślę: to na to idzie moja miłość? Na interes? Ale nie odmawiam. Dotykam, a i zjem. Jem na ulicach, ile zechcę, choć nigdy za dużo. Błagają: zjedz u mnie. Czasem tylko dotknę wargami *bublika* czy *baranki*. Niech się przez to komuś wiedzie w interesach, skoro to takie szczęście. Ono i tak nie jest większe od mojej miłości. Tylko kilka słów do kupców powiem, żeby nie wariowali z podnoszeniem cen. I żeby tak dużo nie jedli. Brzuchaci są. A któremuś powiem: ty jesteś zły człowiek i od ciebie nic nie wezmę. Ale miło mają w swych bogatych kamienicach. Dzieci mówią im *papieńka*, *mamieńka*.

Nie mam dzieci i nie słyszę: mamieńka. I poza tym ja nie z kupców, choć wielu tak uważa. Moja rodzina wysoko się podstawiła i miała jaśniejsze nazwisko. Ale *mamasza* i *papasza* daleko. Nie nazwą Ksieniuszką. Oni wstydzili się mnie, przebranej w kochanie i bez domu. Wezwali *naczalstwo* Andrieja, żeby przemówiło do rozsądku, żebym odgłupiała. To byli sami generałowie, już prawie sami starzy, bo przeważnie od pierwszego Piotra Hasudara. Odgłupieć nie chciałam, bo nie zgłupiałam, i oni wszyscy to zrozumieli, kiedy wyjaśniłam, co i jak. Zgłupieć sposobem Pawłowym oznacza, mówię im: zostać uliczną mniszką w imię miłości i pamięci. I w *kazionnym* zakonie nie znaleźli nic, co by mi zakazywało być, jak chcę. I duchowieństwo, jak powiedziałam, poznało się na mnie, ale to już w Carskim Monasterze. I hierarchowie, i zwykle *baciuszki* zezwolili na teologię uliczną. I doktorzy nie znaleźli w mojej głowie nic, co uszkodziło rozeznawanie się w postępkach. A przydworny doktor to mi się nawet pokłonił i poprosił: *moli Boha za nas*.

Papasza i mamasza też zrozumieli. Poszliśmy przez życie oddzielnie. Hospodi, Iisusie Chrystie Synie Bożyj, odrywasz od papaszy i mamaszy, a czy to dobrze? Zlepiasz żonę z mężem w jedno ciało, jedną płeć, że ani obejrzą się za siebie, a czy to naprawdę sprawiedliwie dla papaszy i mamaszy?

Buty Andrieja nie zdarły się. Jak się zedrą, to w cholewkach będę szła przed siebie. Najczęściej na cmentarz i do świątyni. Inne drogi nie prowadzą mnie do Andrieja.

Czy z człowiekiem tak jest, że żyje dopóki ktoś chce od niego pomocy? To się wtedy długo żyje po śmierci. W ikonie ten pomagający człowiek się znajduje. I żyje.

Jestem pierwsza jurodiwa dziewczyna, kobieta, żona, wdowa, na wieki wieków. Pierwsza w męskim stroju. Odważyłam się tak pokazać mojemu miastu. Najpierw brzydzyli się mną, bo cuchnę. Ale ja nie cuchnę, bo się codziennie kąpię i co jakiś czas moje męskie ubranie piorę w Newie. I łaźni mamy dość. U nas mało się śmierdzi, przynajmniej co kilka dni, a to się natychmiast czuje. Mówią: ulica dziś pachnie. Znaczy się, wszyscy wyszli dopiero co z łaźni. A *muzyki jurodiwe* to prawie nago łażą po mieście, i ulica omiata z nich smród, jeśli zaniedbują bywanie w łaźni. Ale czy to jurodiwe? Jurodiwych niewielu bywa na Rusi czy w naszym mieście. I tureckie łaźnie mamy. A w niektórych to razem się myjemy, i dzieci, i kobiety, i mężczyźni, i starcy. Tam chodzę. Tam kąpiel za darmo. Jest przyjemnie, bo to chyba jak w raj. A do raj. wszyscy chyba wchodzą nadzy i tacy pozostają? W raj. to chyba błyszczą dusza i to nią wszyscy patrzą, a nie w jakie ciało ubrana? Do raj. to się za darmo wchodzi, bo się już życiem zarobiło, bo już samo życie to pieniądź, którego raj wymaga? To niezupełnie za darmo, choć jeśli przymierzyć pieniądź w postaci życia do ziemskich łaźni, to wychodzi, że za darmo. Chcę do takiego raj.

Pieniądź się pamięta, a życia nie? To chyba nie jest rajski stan, rajskie rozumienie stanu rzeczy?

A jak się ubranie na kamieniu puści przez fale, obije płaskim kamieniem, to ono staje się czyste, jak wzruszenie. Tylko materiał robi się cieńszy. Ale nie traci koloru. Tylko kartuz stał się zwiędły i dziurawy. Moja kochana paproć. Zmieniam na zwykłą chustkę. I myślę sobie, że wkrótce wymyję się z ubrania, ze skóry, z ciała. I wtedy ujrzę, jak naprawdę będzie w raj. Andriej Fiodorowicz musi tam na mnie czekać, tak samo ze wszystkiego, co ziemskie, wymyty. Urodzimy się. A w Carskim Monasterze wiedzieli, że się skąpo modłę i napisali w roku 1749, na rozkaz

służb policyjnych: *Ona niemnogostownaja. Małomówna*. Pominęli nieustanność szeptanej kłótni z Hospodom Bohom, nieustanny żal za odebranie Andrieja, i to, że dniem i nocą zmuszam Hospoda Boha do sprawiedliwości. A że na oko małomówna? Toż robiłam zapiski w Carskim Monasterze i na jawną wielomówność nie było czasu.

W czterdziestym siódmym napisali o mnie nawet w gazecie policyjnej. Ta gazeta była czytana przez wszystkich. Podnoszę te *Wiedomosti Gradskej Policji*, bo wiatr pod nogi rzucił, a o mnie mowa: *Nie ma domu. Chodzi po najbiedniejszych ulicach, po najmniejszych domach, żeby na prośbę mieszkańców pocałować dziecko w celu zapewnienia szczęścia dziecku i domowi*.

Tak dokładnie napisali, bo syszczykami obsiewali mi plecy.

Za mego życia namnożyło się teatrów w naszym mieście. Dużych kazionnych, małych prywatnych i ulicznych. Wszyscy coś przedstawiali. I niewolnych chłopów pościągali na aktorów. I orkiestry były z niewolnych chłopów. I ja robiłam mój własny teatr uliczny, ale nie żeby co grać, nie żeby co udawać, tylko z całej szczerości pokazać, jak może kobieta kochać, jak może umrzeć za życia, jak może być sobą i tylko sobą. Być. Krótkie słowo.

Być na balach, to nie całkiem być. Tam trzeba zerkać, kto skłonny z tobą zatańczyć, a kto będzie skłonny nazajutrz. I czy będzie z tego co więcej. Marnowany czas. Ktoś mnie weźmie i porzuci. Jakby koszyk z krupą chwycił, i upuścił, bo okazał się za ciężki. A ta krupa żywa była, czuła, słyszała, wymagała, miała nadzieję. Głupio mówię. Ale przecież człowiek człowieka uważa za krupę w ładnym zgrabnym koszyku. Człowiek człowieka wyjada.

A we mnie, w sercu i w głowie, w skórze, w całowanych stopach, noc poślubna się powtarza. Niech się powtarza. A czy trzeba ją głośno na nowo myśleć? Ona chce przez czucie trwać. Nie porzuca.

Mam dwadzieścia sześć lat, choć mam siedemdziesiąt albo pięćdziesiąt. A może dziewięćdziesiąt. Nie liczę. Miłość nie ma lat. Tak bywa, że wiek kobiety zatrzymuje się na najczarniejszym dniu życia i na największym szczęściu przed tym czarnym dniem. Kto liczy lata kobiecie i miłości, i na tej podstawie ją ocenia?

W tym wielkim szczęściu przed najczarniejszym dniem nie wiedziałam, że już nigdy nie będziemy się kochać z Andriejem.

W Europie, w innej religii mówią, że kobieta ma „obowiązki małżeńskie”. A jakie to obowiązki, kiedy się tego pragnie? To się robi z chcenia. A jaki mąż gdziekolwiek chciałby, żeby z obowiązków? Z udawania chcenia? Ciało opiera się, kiedy to obowiązki. Na naszej Wyspie Zajęczej kobiety wiedziały, że miłość jest mocniejsza od ciała i nie należy do obowiązków. Nie wiem, czy wszystkie. A ten pierwszy car Piotr, co nam z Zajęczej Wyspy i innych wysp, bo tu mamy dużo wysp, całe Sołowki, ale moja to ta Zajęcza, ten car zrobił nam tu Wenecję, ale poza tym namnożył nam tych moskiewskich Niemieckich *Słobód*, gdzie proste dziewczyny dają uciechę fizycznej miłości dla zupełnie nie prostych *mużyków*, albo bardziej prostych od prostych. Sam wyprawiał się do dziewczyn w moskiewskiej Niemieckiej Słobodzie. Że mu się chciało tak tracić czas na dojazd? I na to, co krótko trwa i nie ma umowy na życie razem do śmierci? Hasudary nie są dla mnie zrozumiałe. No ale jamszczyki zarabiają na dowożeniu potrzebnego. I śpiewają mu po drodze jamszczyckie pieśni. Najpiękniejsza z tego wszystkiego jest droga. Tak mi się wydaje. Ten car pamiętany jest najmocniej ze wszystkich carów. I ja go też tak pamiętam. Mocno, jak samo miasto. To też moje kochanie, ale nie główne.

A kronikarze uważają, że ruscy ludzie, czy to baby, czy muzyki, a przede wszystkim Hasudary, przy pomocy kochanek i kochanków tłumią przerażenie. Im więcej nowych ciał, tym mniej przerażenia. To moja Ruś przeraża ruskich ludzi? I Hasudarów? Pytam, jakbym nie wiedziała. Ale zamknęłam oczy na wałęsające po Rusi przerażenie. Wiem, że to nasze ruskie przerażenie poluje i napada na ludzi wszystkich stanów. Pstrzą się w oczach Hasudary, Hasudarynie i pstrzą się ich łoża w plotkach i domysłach, i całkiem jawnie, nawet po parkach i w ogrodach. Wszędzie najjaśniejsze i najciemniejsze ciała kłębią się co noc we wszelkich pozycjach

miłosnych, nawet na zająca, a znika wtedy przerażenie. To może i dobrze? Takie lekarstwo na ruskie przerażenie? Ale to nie moje lekarstwo. I nic nie poradzę, że najjaśniejsi mi się pstrzą i myślą.

Raz jednak celnie wołałam i to z uczuciem przerażenia w imię najwyższego urzędu, żeby smażyli bliny i warzyli kisiele, bo ojczyzna ucierpi. To chyba było w sześćdziesiątym pierwszym, kiedy kolejny Hasudar miał wkrótce umrzeć. I umarł. Co mówię. To dotyczyło Hasudaryni Jelizowiety Pietrownej. To w jej Chórze Dworskim śpiewał Andriej. Że Hasudarynia umrze, wiedziałam wcześniej, bo jak ktoś najjaśniejszy ma umrzeć, to słyszę pisk w obu uszach, ale nie jak koci, tylko sygnalizacyjny, trzykrotny, a do tego wszystko w takim momencie widzę błękitnie. Nawet bure wody kanałów stają się błękitne. I wołałam o te bliny i kisiele na całą Ruś. Na czyjąś śmierć to my przecież smażymy bliny, warzymy kisiele. I od tego czasu już wszyscy zwracali się do mnie nie jak do Ksieni, ale jak do Andrieja Fiodorowicza. Pytali: a za kogo dziś Andriej Fiodorowicz się modli i po kim płacze?

Potem zapomniałam, jak miała na imię nasza Hasudarynia. No ta, od moich blinów i kisielu. A przecież też była moim kochaniem. Ludzi nauki ściągnęła. Zdaje się, że liczyłam ją już na palcach nogi, że tam legła, kiedy nie już starczyło palców rąk na przeliczenie pędzących tronów pod kolejne najjaśniejsze ruskie ciało. A może jeszcze była z ręki? Jak o tym ktoś będzie opowiadał, to też mu się pomyślą dni, godziny i imiona. Tak szybko u nas martwy Hasudar kładzie się na martwą Hasudarynię.

Wiem! To było, te bliny i kisiele, na *Roździestwo Chrystowo* w sześćdziesiątym pierwszym. Krótco przed, czy krótko po? Nie pamiętam. Kochanie spoza głównego kochania umyka pamięci.

Tam nasza krew, gdzie nasz tron. Gdzie nasz tron, tam znowu krew. Nawet kolanami przez zielone portki Andrieja widzę krew. Aż niekiedy i łokciami przez zielen kapoty widzę kanały pełne krwi. Jakbym ubrała się w same wyłogi. I krzyczę: Krew! Znowu! I wyprorokuję. A jak nie wyprorokować, kiedy zielone kolana i łokcie wcześniej widzą czerwień? Imperatora Ioanna zabili. U nas ludzie każdego stanu, ale przede wszystkim na najjaśniejszych dworach, mordują się skrycie i jawnie, ale najczęściej skrycie, a zaraz się kochają z żywymi potomkami. Nasza historia jest najbardziej interesująca i najstraszniejsza. Wielka miłość przeplata się z cichą zbrodnią. I tak będzie na wieki wieków. Ale czy to moja sprawa robić z tego nasz wstyd? Kocham Ruś, jaką Hospodź Boh mi podarował. Mocniej kocham mego ruskiego męża. Ruskie przerażenie, o którym przed chwilą myślałam głośno, omijało nas, bo nasze z Andriejem szczęście było większe. Ale potem życie pokazywało mi ruskie przerażenie.

Płakałam, jak najemnicy do pracy przy dalszej budowie miasta namnożyli się, aż iść było ciasno, i robili podłe rzeczy. Zjechało się aż tyłu, że w naszym mieście było osiem razy więcej mężczyzn niż kobiet. Rabowali i gwałcili. A ja chcę tak pięknie myśleć o ludziach, a tu? Gwałcą nasze kobiety. A one dostają krwotoków i umierają, albo włączają się po mieście z brzuchem, i w końcu też umierają. Rodzą na ulicy. Bez pomocy. A mateczka, jeśli wyżyje, to na dzieciątko nie popatrzy. Niejedno takie pozbawione matczynej miłości dzieciątko do nowej mateczki doniosłam.

A ja chcę pięknie myśleć o miłości, i tej fizycznej też.

Mężczyzna zawsze kocha się z kobietą z chcenia, a nie z obowiązku. A jeśli kobieta też to robi z chcenia, to są prawdziwie razem i do śmierci. Andriej znał sztukę fizycznej miłości. Nieraz tylko mnie pieścił. I ja tak samo jego. I chodziliśmy tylko z tą pieśczołą nawet i tydzień, miesiąc, żeby było w nas najmocniejsze chcenie miłości fizycznej.

Ale to już wszystko o mojej miłości fizycznej. Teraz nie mam ciała.

Jestem miłością, większą od ciała. Kto zrozumie? Kto uwierzy?

Andriej Fiodorowicz zmarł tak niespodziewanie, że się nie zdążył wypowiedzieć. Nieodpuszczona grzeszność. Tak pletli. Uwierzyłam. To postanowiłam: zrobię wszystko, abyśmy mogli się spotkać po śmierci w tym samym najjaśniejszym miejscu, żeby nie było tak, że ktoś z nas niżej, że on niżej. Miało być równo, tak żebyśmy stanęli

jak pod koronami, żeby było jak do ślubu, jak w domu. I pomyślałam, że to może nie takie dobre pragnienie, bo chcę takiego wywyższenia również dla siebie i wierzę, że odkupiłam wszystkie grzechy Andrieja i swoje, i że oboje będziemy w wyższym miejscu. Już nie wiem, czy moje pragnienie jest godne tego miejsca. Duchowni pozwolili na pełną *Panichidę* ze względu na mój czyn i na to, że z pewnością Andriej sam pragnął się wypowiadać, ale bardziej ze względu na mój czyn. Ktoś trzeci musi w takiej sytuacji wziąć na siebie ciężar prześlągania Hospoda Boha i ja tego dokonałam.

Już wiem, ludzie mają po dwa domy, tu i tam, gdzie jestem. Ale niektórzy mają tylko jeden. Tylko na ziemi. I dużo domów tylko na ziemi. A jeszcze inni mają tylko jeden dom nie na ziemi. Nie umiem tego wyjaśnić.

Jestem pierwszą kobietą, która głośno myśli o sobie. I wielu słyszy.

Najgorszy rok to był 1757. Wyszedł ukaz carski o wyłapaniu jurodiwych i przymuszeniu do pracy. I na mnie urządzili polowanie. A jeszcze kartuz miałam na głowie. Na miłość urządzili polowanie. To było w styczniu. Mróz. Pobiegłam w pole, żeby się pomodlić z pokłonami na cztery strony świata, i odmroziłam nogi. Służby policyjne zobaczyły, jak i gdzie się modłę. Pytają, czemu tu, w szczerym polu? To mówię im: a bo w szczerym polu więcej Hospoda Boha. Jeden z nich mówi: A, to wy, Andrieju Fiodorowiczu.

Zostawili mnie w spokoju.

Niepotrzebnie się bałam.

Tylko nóg szkoda. Spuchły na zawsze.

Innych *brodziągów*, nie czyniących cudów i nie prorokujących wyłapali co do jednego. Zostałam jedynym jurodiwym człowiekiem w mieście. Tych nagich jurodiwych, mężczyzn, co w opaskach na biodrach wałęsali się po mieście, też połapali, bo nie czynili cudów, tylko pili gorzałkę, co ją Hasudar pierwszy Piotr puścił w ruską modę, i bełkotali jak pijacy, a nie jurodiwe. I to z portek porobiły się im opaski. Poobrywali sobie nogawki w bijatykach.

Zdawało mi się tej nocy, że podeszłam bardzo blisko do Hospoda Boha, i to sprawiedliwego, ale nie głównej sprawie. Pozostawałam w kłótni. Modliłam się do niego o to, żeby zapomnieć wszystko, co złe. I kłóciłam się o Andrieja. Jak mogłeś, Hospodi Boże moj! Był o dziesięć lat starszy. Jak mogłeś posiwić mi włosy w jedną noc.

Wiem, że jurodiwy musi zmienić imię, żeby być prawdziwie jurodiwym, to znaczy pozostawać w zgodzie z Hospodom Bohom. A ja nie zmieniałam. Powiedziałam: nie, Hospodi Boże moj, chcesz ode mnie za dużo. Nie godzę się na śmierć męża i chociaż przybiorę jego imię i *otczestwo*, to z mego imienia nie zrezygnuję. Dopiero jak wielu ludzi zaczęło mnie nazywać Andriejem Fiodorowiczem, to widocznie Hospodź Boh uznał, że już jest ta wielka zgoda poprzez to nowe imię. I nawet *otczestwo*. I już nie byłam ścigana przez carską policję.

Jednak pozostawałam z Hospodom Bohom nadal w niezgodzie i wciąż otwarcie o tym głośno myślę. Hospodź Boh dobrze o tym wie i tylko trochę poprawia swoją sprawiedliwość. Wiem, że jeśli jurodiwy imienia nie zmieni, to nie dostaje *Anhieła Chranitiela*, Anioła Stróża, jak mówią Polacy, i podlega bezpośrednio ulicy i jej bandytom, no i najbardziej bezpośrednio Hospodu Bohu. Nie miałam *chranitiela* ciała. Czułam się w męskim przebraniu raz naga i bezbronna, wystawiona na drwiny, a drugi raz ubrana jak na wojnę. Mieszała się strata z zyskiem. Andriej był mną, a ja nim, a po chwili w tym miejscu robiło się pusto.

I baciuszki, i doktorzy, uczeni w Pismie Świętym, wiedzieli, że bez *Anhieła Chranitiela* stają się jurodiwą zbuntowaną przeciw Hospodu Bohu, ale oślepli na ten brak. Bo kłótnia z Hospodom Bohom, to nadal bycie z nim. Wówczas była nowa sprawa. Modnie było w Europie, a więc i u nas, zarzucać Hospodu Bohu, że w ogóle go nie ma, bo gdzież go znaleźć i jaką to on ma postać, żeby można było brać na rozum? Wszystko trzeba brać na rozum, a rozum bierze na siebie tylko to, co widzi i co można do rąk brać, i badać. Postanowiłam zostać z Hospodom

Bohom, choć nie daje się brać na rozum. I chyba dlatego brak Aniele Chranitiela nie raził znawców.

Hospodź Boh jest Uczuciem wszystkich uczuć. Oduczcie ludzi uczuć, a nie będzie człowieka. Uczucia nie przeczą rozumowi, bo obok żyją. Zabierzcie ludziom Uczucie Wszystkich Uczuć, a człowiek wyzbędzie się poszukiwania uczuć najwyższego rodzaju i będzie pojmował uczucia jak znoszone rajtuzy. Stare do wyrzucenia. Po co prać? Będą nowe, takie same.

Z Uczuciem Wszystkich Uczuć człowiek tak żyje, że się do tego przymierza, by stwierdzić: pasuję z moją miłością. A jeśli nie ma tej przymiarki? To do sąsiada będziemy się przymierzać? A jeśli sąsiad nie przymierza się do tego, co wyżej?

Kłótnia z Hospodom Bohom to bezkrwawa kłótnia. Dlaczego człowiek jeszcze się do tego nie przymierzył? Dlaczego człowiek nie dąży do życia w bezkrwawej kłótni? A jak tak pozbawić człowieka Hospoda Boha i wszystko brać na rozum, to może wyjdzie z tego mądra prawda: krwawe kłótnie zawsze są i będą?

Nie chcę żyć mądrym rozumem w krwawej kłótni.

Doktorzy wciąż leczą rękami Hospoda Boha i nie brali Hospoda Boha na rozum. A jeśli brali, to nie do końca. Mówili, kiedy lekarstwa nie pomagały: wszystko w rękach Hospoda Boha. Czy za kilka wieków lekarstwa przewyższą moc rąk Hospoda Boha? Czy doktorzy, czy wszyscy Hospoda Boha wezmą na rozum? A czy jakaś kobieta będzie kochać męża, jak ja? A czy będą jeszcze na świecie jurodiwe, podobne do mnie? A może im nie pozwolą na zgłupienie, jak moje, tylko lekarstwami będą wypędzać z nich miłość? A jeśli to się nie uda, to czy je zamkną na zawsze w szpitalu z kratami w oknach i oddadzą tylko w jedną parę rąk, w ręce doktorów? A ręce Hospoda Boha uczynią ostatecznie beczynnymi?

Moja ulicę zaczęli nazywać ulicą Pietrowską.

A jeszcze przypomnę coś o Praskowji Antonowej, dla której znalazłam zielonookiego synka. Ona dała mu na imię Andriej i od Iwana wzięła otczestwo. Tak robimy, kiedy ojca nie można znaleźć. Bierzymy od zruszczonego imienia Ioann. A imię Praskowja Antonowa wzięła od mego Andrieja. Tak się to wszystko splata. Czy o mnie będą pamiętać za kilka wieków? Za dwa? Za więcej? Pamiętajcie mnie?

Wiedziałam, że znajdzie się podobna do mnie jurodiwa. Będzie nosiła męskie ubranie, rubachę. Będzie to Sasza Sarowska.

O niej kto inny opowie więcej.

Nie tak łatwo iść po ulicach, będąc już za życia potężną jak car. Za życia królewską. Niebezpieczeństwo za plecami. Tylko prawdziwi carowie chodzą i boso, i w łachmanach. Pierwszy Pior Hasudar chodził oberwany i w przepoconej peruce, i cuchnęło mu z głowy. Carom łatwo nosić się po ulicach w oberwanym i cuchnącym stanie, bo są rozpoznawani, że mocni, że mają wierną armię. A jeszcze myślę, że każda epoka cuchnie inaczej, że w ogóle cuchnie. O sprawach mówią: osłuchane. To chyba nie tylko uszy, ale i nosy miewają taki stan, tylko o nosach powinno się mówić: *ocuchane*. I w ten sposób każda epoka jest ocuchana. Nie czuje swej woni.

Już mówiłam, że z całej Rosji nabiegło tu najemników do pracy, że miasto stało się męskie i pełne przemocy. Osiem razy mniej kobiet. I wśród mężczyzn było wielu więźniów i nawojowanych żołnierzy. Więźniowie, zmuszeni do pracy, pracują uczciwie, ale poza pracą robią się z nich bandyci. Poza pracą nie mają nadzorców. A nawojowani żołnierze to inna sprawa. Wojaczki mu brakuje, to się rzuca na kobietę, bo to dalszy ciąg jego wojny. I przypada co najmniej ośmiu gwałcicieli na jedną kobietę. Czy mnie zgwałcili? Nie. Próbowali, a już samo to było straszne. Nie zgwałcili. Przecież byłam Andriejem Fiodorowiczem. Chustkę zaczęłam nosić na starość. Otaczają, podpełzają, patrzą, a to *mużyk*, nie baba. O tych próbach zapomniałam. To był pierwszy moment, kiedy się

śmiałam Królikowi na niebie nad Wyspą Zajęczą. Tylko oni słyszeli mój śmiech. Był basowy i groźny. A kobieta ze mnie była duża przez za duży mundur. Powiększał mnie mundur pułkownika. Podpełzają, otaczają nawojowani żołnierze, a tu mają pułkownika *Preobrażeńskiego Pułku*, choć to tylko ja, powiększona przez kochający mundur. I rozlegał się pod Królikiem na niebie drugi mój śmiech. Potem, jak już stałam się prawdziwą jurodiwą, nikt mnie tykał, nie opluwał, chociaż i to się zdarzało.

Myślę jednak, że ten zielonooki chłopczyk, co go za moją sprawą wzięła sobie Praskowja Antonowa i na dobrego człowieka wychowała, to od nich się wziął, od tych wojujących mężczyzn dwojakiego rodzaju. Jak dużo może druga matka, kiedy pierwsza nic nie mogła. Umrzeć z ręki woźnicy. Czy to było sprawiedliwe, Hospodi Boże mojej? Dziecko ma co najmniej ośmiu ojców, ale ani jednego?

A przecież bandyci mieli do woli wesołych dziewczyn. One ciągle się śmiały, głośno, i wszyscy wiedzieli, do czego służą. Nasi pracownicy bandyci też się głośno śmiali, kiedy mieli z nimi miłość fizyczną. Wesoła kobieta zmienia wargi bandycie. Stają się przyjemne. A poza tym są nadęte i jakieś głupie, ale nie jak u jurodiwych. Wargi bandyty, nie wiedzą, że są głupie. One pragną być przebiegłe. A może również ich właściciele ta wesoła dziewczyna zmienia chociaż na chwilę w delikatnych ludzi naszej Ziemi?

Nawojowani żołnierze mieli rozbiegane i śledzące oczy. Nikt nie ma takich. Nawet złodzieje. Oczy, w których nic nie ma, tylko poszukiwanie. Te oczy chcą łupić i łupić, jak już ich wojna dawno skończona. Złodzieje zadowolają się szybciej, mniejszym łupem i nie biorą kobiet gwałtem. To już dobrze wiem. A czy Ty, Hospodi Boże, może dałeś mi zbiorowego Anhiela Chranitiela w postaci złodziei Petersburga? Czy to przez to złodzieje delikatnieją, zmieniają się i śledzą mnie, żeby chronić?

Głupie pytanie?

Mówię, co mówię, myśląc głośno.

Przecież i Hospoda Boga zmienia moje uparte uliczne żeństwo niezgody. Jednak już wiem, że nie umrę bez pojednania się z Hospodom Bohom, że on z mojej woli przygotuje mi odpowiednie życie po śmierci. I dla innych kobiet będzie sprawiedliwy. Przez mnie inne kobiety musiał zobaczyć.

Już wiem, że mego jurodiwego życia ludzie najczęściej będą powtarzać dwie historie - o Praskowji, o której dziś dużo głośno myślałam, i o jeszcze jednej kobiecie, Nataszeńce Gołubiewej. To była wdowa po niebogatym kupcu. Nie miał pieniędzy na podatek od brody. W zakonie wciąż trwała wola pierwszego Piotra Hasudara, a według niej, tylko duchowni i kupcy mogli nosić brody, ale kupiecka broda była opodatkowana. Niehonorową sprawą kupca było nie mieć brody. Im dłuższa była broda, tym kupiec był bogatszy. A że innymi drogami chodzę i inny świat widzę, ten utajony dla wielu, to i w domu bez brody zobaczyłam coś dla siebie jurodiwej i dla Nataszeńki. Te inne moje drogi, jak mówiłam, bez prawdziwego Anhiela Chranitiela, były niebezpieczne, ale dla mnie stawały się sprawiedliwsze.

Do końca życia zaczepiały mnie tylko wyrostki. Targały za kaftan i ciągały za moją czerwoną spódnicę, którą wkładałam na spodnie Andrieja Fiodorowicza, dopóki czas ich nie zjadł. Spódnicę podarowała mi Nataszeńka. Potem zieloną bluzkę dodała, jak się górna część munduru też zużyła. I tu się wszystko wiąże w jedno.

W co wtedy byłam ubrana? Chyba prawie w nic. W czerwoną spódnicę i zieloną bluzkę od Nataszeńki.

Wtedy już mnie nazywali Szybką Pomocą albo Tajną Pomocą. Policja, jak już dobrze zrozumiała moje nowe imiona i ucieszyła się z mojej czerwonej spódnicy i zielonej bluzki, bo już powracała we mnie kobieta, choć nadal byłam u policji Andriejem Fiodorowiczem Pietrowem, jak u wszystkich, to łąpała tych wyrostków i odciągała ode mnie jak najdalej. Ale o czym ja, przecież o Nataszeńce. Bez męża i jego kupieckiej brody trudno było dać dobre życie Saszeńce, siedemnastoletniej córce. A Saszeńka była piękna. Uroda północna. Zielone oczy, gęste płowe włosy,

niecو wklęste policzki na szlachetnie podłużnej twarzy.

I w mojej czerwonej spódnicy, nakrytej *jołką* bluzki, długim bezpiecznym pożarem leciałam przez miasto do Nataszeńki i Saszeńki, żeby krzykiem oznajmić: na cmentarzu mąż Saszeńki smutny stoi. On tam po Panichidzie grzebie swoją żonę. Leć tam, Saszeńka na naszą *Ochtę*, lećcie obie. Najpierw spytały jednogłośnie: jak to mąż Saszeńki na Ochcie? Ale posłuchały, poleciały, a tam wdowiec leży omdlały przy grobie żony. Obie zajęły się nim tak serdecznie, że wkrótce moje słowa okazały się prawdą: Saszeńka wyszła za mąż za tego wdowca i byli szczęśliwi, jak my z Andriejem, tylko nie tak krótko. Długo żyli. I nie chodzili na starość o *krjuku*. Biegali pod rękę albo za rękę.

A to wszystko sprawiła moja miłość do Andrieja Fiodorowicza Pietrowa. To ona była tym pożarem, co się ulicami niósł w mojej osobie i w czerwonej spódnicy pod *jołką* bluzki, aby Saszeńkę szczęśliwie wydać za mąż. Za mną leciała gromada wyrostków i darła się: Durnieńka! Durnieńka! I obrzucali mnie kamieniami. A za nimi ruszyły biegiem służby policyjne, które też się darły: Stać, bo strzelamy! Za policją najbliższe miasto biegło, a za nim odleglejsze miasto podążało też tym samym biegiem, i słychać było, jak miasto pyta się miasta: a za czym to dziś biegnie i dla kogo sam Andriej Fiodorowicz Pietrow? Na samym końcu pozostałe miasto szło pieszo, coraz wolniej, żeby się gromadzić tu i tam, i tak samo pytać, w podnieceniu, i o to samo sąsiadów i kupców. Zanim miasto stanęło, to wszystkie pralotki na bok zjeżdżały. Niejeden przerażony woźnica wjechał w sklep z kawą, tytoniem i wódką, aż zmieszał wszystko w nowy ruski napój.

A już zaczęli ludzie opowiadać o nowych czasach, w których nie będzie pralotek z woźnicami, tylko nowe pojazdy, pociągane naprzód przez setkę koni albo pięciuset ludzi. I te pociągane pojazdy będą pędziły szybciej niż pralotki, a wkrótce nawet same pociągną naprzód jeszcze szybciej. To już nie było na moją głowę, choć ujrzałam obraz tych pojazdów. Jedne okropnie dymiły i przeraźliwie gwizdały i charczały, jakby kto sto kogutów dusił, a do głosu jednak dopuszczał, a drugie, wcześniejsze, nazywają się *konka* i linię Newską u nas mają, i rzą, hałasując mniej. Zostawałam w tyle, i jedynie z moją miłością. Nowe dźwięki były mi niezbyt miłe, choć rzenie koniek było może i przyjemne, jak w pralotkach. Poczułam: wkrótce umrę naprawdę.

W tym czasie ludzie nadali mi nowe imiona: Tańcząca Czerwona Spódnica. Mąż Saszeńki najpierw tak mnie nazwał. Jeszcze nazywali mnie Tańczącą Cegłą, bo nocami znosiłam cegły na budowę naszego chramu. Dźwigałam po rusztowaniu na piętro. Ale to inna historia. Historia bezsenności.

Zmęczyłam się głośnym myśleniem o tym, jak moja sprawiedliwość mierzyła się z zaniedbaną sprawiedliwością Hospoda Boha. Wystarczy na dziś. Posłucham pieśni o mnie. Śpiewajcie.

Akatisty, tropary i kondaki śpiewajcie.

Śpiewajcie mi do snu. Przez moje sny sprawię, że chociaż jedna wasza dobra sprawa szczęśliwie się rozwiąże, że chociaż jedna kobieta przywiąże się do męża, jak ja, że bezdomny dom znajdzie, że każdy uczciwy kupiec wyhoduje sobie bogatą brodę, a zielonooki chłopczyk z mego snu i każdy inny chłopczyk, i każda dziewczynka, i dziecko każdookie, znajdą nową matkę po śmierci pierwszej. I że ta pierwsza wcale nie umrze nieprzygotowana, choć w tej akurat sprawie nie mam fachowości, bo mi jej Hospodź Boh nie oddał - sam ją trzyma, sam postanawia.

Może za kilka wieków ktoś spyta mnie: dlaczego płaczesz, Andrieju Fiodorowiczu? Dlaczego krzyczysz, że rzeki są krwawe, że tamtędy płyną pomordowane miłości? Przecież widzę. Rzeki krwawią od pomordowanych miłości. Pomordowane miłości spływają nimi tak ciasno, że ryb nie widać, i nie ma to końca. I widzę mnóstwo nowych pociąganych pojazdów, które pociągają się same, ale nie umniejsza to koloru rzek, zebranych w pomordowane miłości.

A czy za kilka wieków nie będzie muzyków, co by brali kobietę gwałtem? Zdaje mi się, że będą, i że jest bardzo wielu, że więcej i więcej. Jestem aż tak zmęczona, że się myślę? Czy źle widzę?

Naprawdę jestem zmęczona.

Pójdę spać pod jasnym Królikiem na niebie, na mojej Wyspie Zajączkiej, co mi się przykleiła do stóp. Umknę podrostkom. Pralotka nie najedzie na mnie, ani nie zmiesza z wódką i tytoniem. Śpiewajcie mi do wiecznego snu.

Baciuszki grzechy mi odpuszczą, a Andriej będzie mnie pieścił niegrzesznymi dłońmi. A przedtem pobiegnę ulicami mego miasta, aby donieść komuś wielkie szczęście. Pobiegnę w czerwonej spódnicy po jołkę bluzki, w kolorach munduru pułkownika Andrieja Fiodorowicza. Wiatr śmierci złapie mnie i przewróci. Zdążę krzyknąć: wyświadczyć, baciuszki!

Dobranoc.